

pod nogi złocisty swój kwiat, napawający aromatem powietrze, roje pszczoł szemrały głośno, wysysając miód i wszystko działa się tak samo, jak przed wiekami było i jak po wieki wieków będzie.

— Bo proszę uważać, że rozdział kapitałów w społeczeństwach ludzkich jest nierównomierny; obok bogactw, które nie wiedzą, co z sobą zrobić, istnieje nędza. A przecież każdy ma prawo do życia i do szczęścia. Nie mówię tu nic nowego, pani o tem wiesz dobrze, jesteś kobietą, o ile mi się zdaje, rozumną i odczuwającą doskonale prądy czasu, ale nie mogę się powstrzymać od wypowiedzania tego, co mi pierś przepelnia. — Wściekam się, zgrzytam zębami, patrząc, jak głupio ludzie się urządzili.

W jego czarnych, zmęczonych oczach błysnął złowrogi płomień, podniósł swój kij sękaty i zdawał się nim grozić niewidzialnemu wrogowi. Nagle zatrzymał się, stanął wprost Anielki i zapytał:

— Byłaś pani kiedy w jakim wielkiem mieście?

Zaśmiała się na to nagle, niespodziewane i pozornie niemające związku z rozmową dotąd toczoną, pytanie.

— Naturalnie, że byłam. Kończyłam przecie persę w Warszawie.

— Tak, ale z pewnością nigdy nie przyszła pani do głowy żadna myśl, gdyś patrzyła na te olbrzymie gmachy, świątynie, pałace, posagi, na te tysiączne ślady pracy ludzkiej. Prawda? nigdy żadna myśl w pani się nie obudziła, żadnego wniosku z tego widoku nie wyprowadziłaś?

— Nie bardzo rozumiem, o co panu idzie. Różne myśli mogły mi przychodzić do głowy, ale nie wiem, do czego pan zmierzasz.

— Do czego ja zmierzam, do czego ja zmierzam! — zawołał z goryczą, uśmiechając się ironicznie, i ruszył znowu naprzód, machając zawzięcie swą pałką sękatą i pociągając za sobą Anielkę — a przecież to takie proste i ja się zawsze dziwię, dlaczego ludziom myśl tak naturalna, tak konieczna, jak to, że słońce co dzień rano wstaje i codziennie wieczór zachodzi, w głowie nie zajaśnieje.

— Jakaż to myśl?

— Jaka to myśl? — szepnął na pół do siebie, i nagle z właściwym sobie ruchem nerwowym zatrzymał się znowu, stanął wprost Anielki, i wlepiając w nią swe palące, roziskrzane ogniami zapалу oczy, rzekł:

— Powiedz mi pani, kto krwawym potem, kto pracą swych twardej rąk roboczych, zbudował to wielkie miasto, te olbrzymie gmachy, świątynie, wieże, złociste pałace, spiżowe posagi? Kto to zbudował?

Roześmiała się szczerze, głośno, ukazując z pod warg purpurowych szereg białych ząbków, gotowych ten świat źle urządzony pogryść i chrupać i odpowiedziała:

— Zabawne pytanie.

Odwrócił się od niej z wyrazem zniechęcenia, machnął sękatym kijem i rzekł:

— Tak, zabawne pytanie. Wszystko jest zabawne, czego nie rozumiemy.

I nagle, ożywiając się, zawołał:

— Tylko, że w każdej zabawnej rzeczy leży głęboka tragedia i ból tysięcy. Jedni się śmieją, inni płaczą. Wszystko to już było, powiedział jakiś mędrzec wschodu i niewątpliwie powiedział prawdę, tylko że tego co będzie, jeszcze nigdy nie było. Pani nie chcesz mi odpowiedzieć na moje pytanie i śmiesz się, bo ono ci się wydaje nietylko zabawnym, ale głupim. Jednakże powiedz, kto zbudował te wielkie miasta, w których setki tysięcy ludzi bije się jak psy głodne o kość, o gnat ucztę życia.

— Dobrze, odpowiem panu, te wielkie miasta zbudowali ludzie. Cóż innego mogłabym odpowiedzieć?

— Tak, masz pani rację, nikt inny nie zbudował i zbudować nie mógł, tylko ludzie. Ale jacyż to ludzie? Czy ci, co mieszkają w tych złocistych pałacach, rozwalają się na miękkich meblach, sypią w puchach, jedzą zamorskie potrawy, piją kosztowne wina, ubierają się w aksamity, jedwabie, bisiory i złotogłowie, którzy jeżdżą powozami, mają liczną służbę i nic nie robią? Powiedz pani, czy to

oni zbudowali te wielkie, piękne, wspaniałe, lśniące przepychem miasta?

— No, oczywiście, że nie oni.

— A któż?

— Budowniczymi, architektami... czy ja wiem zresztą, kto?

— Budowniczymi! architektami! czyż oni je zbudowali własnymi swymi rękami?

— Nie... zbudowali murarze, cieśle, dekarze i inni rzemieślnicy.

— A! *Hier liegt der Hund begraben!* tak, pani, te wielkie miasta zbudowali nie zbytujący burżuje, ale twarde, spracowane ręce robotników. Oni wzniesli te pałace, aby garstka próżniaków rozkoszne w nich pędziła życie, garść ospałych burżujów. A teraz pytam: I cóż ci pracownicy mają za to? czy mieszkają w tych pałacach, swymi rękami wzniesionych? Nie! oni tłoczą się, gnieżdżą po suterrenach, po piwnicach, po ciemnych, ponurych zaułkach, gdzie brak powietrza, przestrzeni, gdzie dzieci ich umierają bez słońca, bez nieba, bez zieleni. Oto jak jest urządzone to mądre społeczeństwo dwudziestego wieku!



— Czy tutaj jest dwór?

Podniósł wzrok ku niebu i zawołał:

— I ty Boże na to patrzysz!... a ludzie po dawnemu żenią się, kochają, płodzą nędzę, jakby ucztę życia była dla każdego zastawiona. O głupoto ludzka! nieśmiertelna, wiekuista głupoto ludzka!

— Cóż pan chcesz, miłość jest prawem natury, przenika wszystko, tak dobrze rozchyła swój wonny kielich w ponurej piwnicy, jak i w złocistych sypialniach.

Spojrzał na nią, gdy to mówiła z roziskrzonymi oczyma i rozchylonymi ustami, jakby pragnęła gorącego, miłosnego pocałunku, a pierś jej pod staniem falowała rozkosznie, spojrzał, dziwnie jakoś zaciekawiony, i rzekł po chwilowym milczeniu.

— Tak, jest to fatalna siła, demon ludzkości, pędzący ją na bezdroża. Dla tego też, jestem przekonany, że kobiety nic nigdy nie zdziałają wielkiego na świecie, nie przyczynią się do jego przeobrażenia, bo one są stworzone dla miłości i tylko dla miłości. Są one hamulcem, ziarnkiem piasku, które rozpedzone koło męskich usiłowań zawsze, nawet w chwili najpotężniejszego czynu, wstrzyma w biegu. Tak, świat dzięki kobietom toczyć się będzie po zwykłej utartej kole, aż zgnije.

Oburzyła się na te słowa. W jej czarnych, jak

aksamit mieniących się oczach zajaśniał błysk gniewu. Z pogardliwym wygięciem różowych ust, z rozdzętemi nozdrzami, zawołała:

— Więc pan myślisz, że kobiety są na nic nie przydatne, że przeobrazenie świata jest dla nich rzeczą obojętną, że yśła tylko o tem, by rzucić się w oczekujące na nie objęcia obrzydłych samców? I to pan, który przed chwilą wygłosił tyle pięknych, postępowych myśli, tak mówisz? Doprawdy, te słowa męskie są osobliwie uorganizowane. Wszystko tam się miesza w zachwycającym nieładzie, złoto z błotem.

Wstrząsnęła ładną główką, na której ciemne włosy padał kwiat wonny starych lip i kładł się złocistą plamą promień ciepłego słońca letniego i ciągle, z pogardliwym wygięciem swych ust różowych mówiła:

— Więc pan myślisz, że my tylko o miłości myślimy? O! jakże się mylisz! Minęły już czasy romantycznych Aldon, Grażyn i Snów srebrnych Salomei. Niema teraz kobiet, któreby się całe życie kochały w jednym mężczyźnie. To jest przeciwne prawom natury. Gdyby ta pszczoła, co tu brzęczy, ciągle ssła słodycz z jednego kwiatu, toby nie tylko miodu do ula nie przyniosła, ale sama by z głodu padła.

— Co za porównanie poetyczne! zaśmiał się Wiśniewski.

— Tu wcale nie idzie o poezję! Zrobiłam to porównanie, bo ono doskonale moją myśl maluje. Tak i w życiu kobiety miłość jest tylko epizodem. Wy, wy to wstrętne samce jesteście tem ziarnkiem piasku, utrzymującym rozpęd maszyny społecznej. Gdyby dziś, jutro, trzeba było pobiedz, by zapalić lont, przyłożony do beczki z nitrogliceryną, mającej wysadzić w powietrze stary porządek rzeczy, to samiec obrzydły, któremu powierzono to zadanie, spotkawszy na swej drodze pierwszą lepszą wabiącą go spódniczkę, z pewnością zatrzyma się, zapomni o tem, z czem go posłano, a poleci za spódniczką, by w jej pieściwym uścisku utonąć. Wstrętne, lubieżne samce!

— A dlaczegoż go ta spódniczka wabiła?

— Dla czego! dla tego, że i wśród kobiet są samice!

— A pani nią nie jesteś?

Mówił to, patrząc na jej postać utoczoną, na jej zgrabną figurkę, szerokie biodra, wydatne piersi, na jej ładną twarzyczkę, na szyję, całowaną przez niedyskretny promień złotego słońca. Zarumieniła się jak róża, chwytając to jego spojrzenie, odwróciła się nieco bokiem, jakby chciała ukryć przed nim pociągające go wdzięki i rzekła:

— Otóż to logika męska! Otóż rozmowa z mężczyzną, która zawsze skończyć się musi na bezwstydnym pożądaniu. Nie sądź pan, byś mię tem zawstydził, jestem kobietą, człowiekiem, nie gęsią, spuszczającą wstydlive oczka i udającą fałszywą skromność; wiem, co życie warto i skąd ono się bierze.

— Pani musiałaś bywać na wiecach matek w Warszawie, gdzie podobno matek wcale nie było, ale zato tak zwanych panien i pół-dziewic, mnóstwo. A może też te śmiałe zdania zaczerpnęłaś pani z prelekcji doktora Cynickiej-Wsteczniczkiej, o których tak wiele mówiono w swoim czasie i na które wszystkie podlotki latały, by z bliska przypatrzeć się temu, skąd życie się bierze. Właśnie to wyrażenie pani...

Śmiał się nerwowym śmiechem, odgarnął szybkim ruchem spadające mu na czoło włosy i patrzył szyderczo w oczy Anielki. Ta rozgniewała się naprawdę, odwróciła się od niego i rzekła:

— Myślałam, że znajdę w panu duszę pokrewną...

— Skowyczącą do duszy bratniej — poderwał — nie moje to, ale całkiem nowoczesne wyrażenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).